

Dziewczynyna dla mistrza

ANNA DYMNA sprawdza się zawsze

Tak przywykliśmy do znajdowania w historii polskiego kina wartości ideowych, że zapomnieliśmy niemal zupełnie o „drugiej stronie obrazu”, czyli o historii piękna. O tworzeniu kryteriów piękna, o nawet mimowolnym kształceniu gustu odbiorców. W tej dziedzinie kino ma też swoje osiągnięcia.

Jest na pewno jedną z najpiękniejszych polskich aktorek. Pięknością naturalną, jakby „z wody” — niezależną od czasu, epoki, kostiumu, sytuacji dramaturgicznej i osób towarzyszących na planie lub na scenie.

Jest wiecznym typem rozkwitłej dziewczęcości, który sprawdza się zawsze. Dlatego może być zarówno „królewska” („Królowa Bona”, „Epitafium dla Barbary Radziwiłówny”), jak i „judowa” („Nie ma mocnych”, „Kochaj albo rzuć”). Może wychodzić wprost z

historii („Pasja”), co i z legendy („Dolina Issy”). Wspaniale spełnia się zarówno w teatrze (a gra w najlepszym i najgłośniejszym, czyli w Starym), jak i w telewizji (np. fascynująca Małgorzata w „Mistrzu i Małgorzacie” Bułhakowa-Wojtyński).

Kiedyś, przed laty, została określona jako „Orsilla Muti Wschodniej Europy”. Potem już wszyscy zapomnieli o tym porównaniu z włoską gwiazdą i pozostała po prostu Anna Dymna — wciąż ogromnie popularna, uwielbiana, taka, co to nieznanym ludziom uśmiechają się do niej na ulicy.

Nieraz zastanawiałam się, co jest najbardziej pociągającego w jej postaci? I myślę, że to „coś” tkwi w jej odniesieniu do własnej... biologiczności. Pamiętam, jak około 7 lat temu wróciła do teatru wprost po urodzeniu syna. Była jeszcze jakby „sbyt duża”, miała w sobie jakieś „biologiczne rozleniwienie”. Z tego zdarzenia, szczęśliwego i konkretnego, trafiła od razu na... „Zemstę” Fredy w reżyserii Andrzeja Waj-

dy. Wajda znakomicie wyczuł „nowość chwili” i obsadził ją w roli... Podstoliny. Była to doskonała, ale i najdziwniejsza Podstolina, jaką można sobie wyobrazić: filutery komentarz do „rozłożystej” biologiczności.



Od tego czasu minęło kilka lat. Znowu jest zgrabną, wspaniałą kobietą. Ale ów „filutery komentarz” pozostał. Może właśnie on jest znakiem dojrzałości? Bo rzadko się zdarza aktorka,

która w sposób tak naturalny potrafi każdą fazę swej biologii zademonstrować, równocześnie odnosząc się do niej z radosnym dystansem.

I pomyśleć, że „zaledwie” 30 lat minęło od czasu, gdy zadeblutowała (1972) w niedobrym, nie stroniącym od kiczu filmie Andrzeja J. Piotrowskiego — „Szerokiej drogi, kochanie”. Jeszcze dziś „widzę”, jak młodziutka, wiotka i delikatna Anna Dziadyk (pod panieńskim nazwiskiem, przed małżeństwem z Wiesławem Dymnym) staje na brzegu (morza? jeziora?) w momencie, gdy wschodzi słońce, a barwy kładą się takie, że trudno sobie wyobrazić większe skondensowanie kiczu. A jednak pozostała w pamięci, jakby w całości należąc do tego „wstającego” dopiero krajobrazu, chociaż ona była tzw. świeżym porankiem, a krajobraz w sumie estetycznie podejrzany.

Od samego więc początku zamaczyła się wyższość „autentyzmu” nad wszelką sztucznością i nieprawdą obrazu. Może to jest istotną cechą tej postaci?